

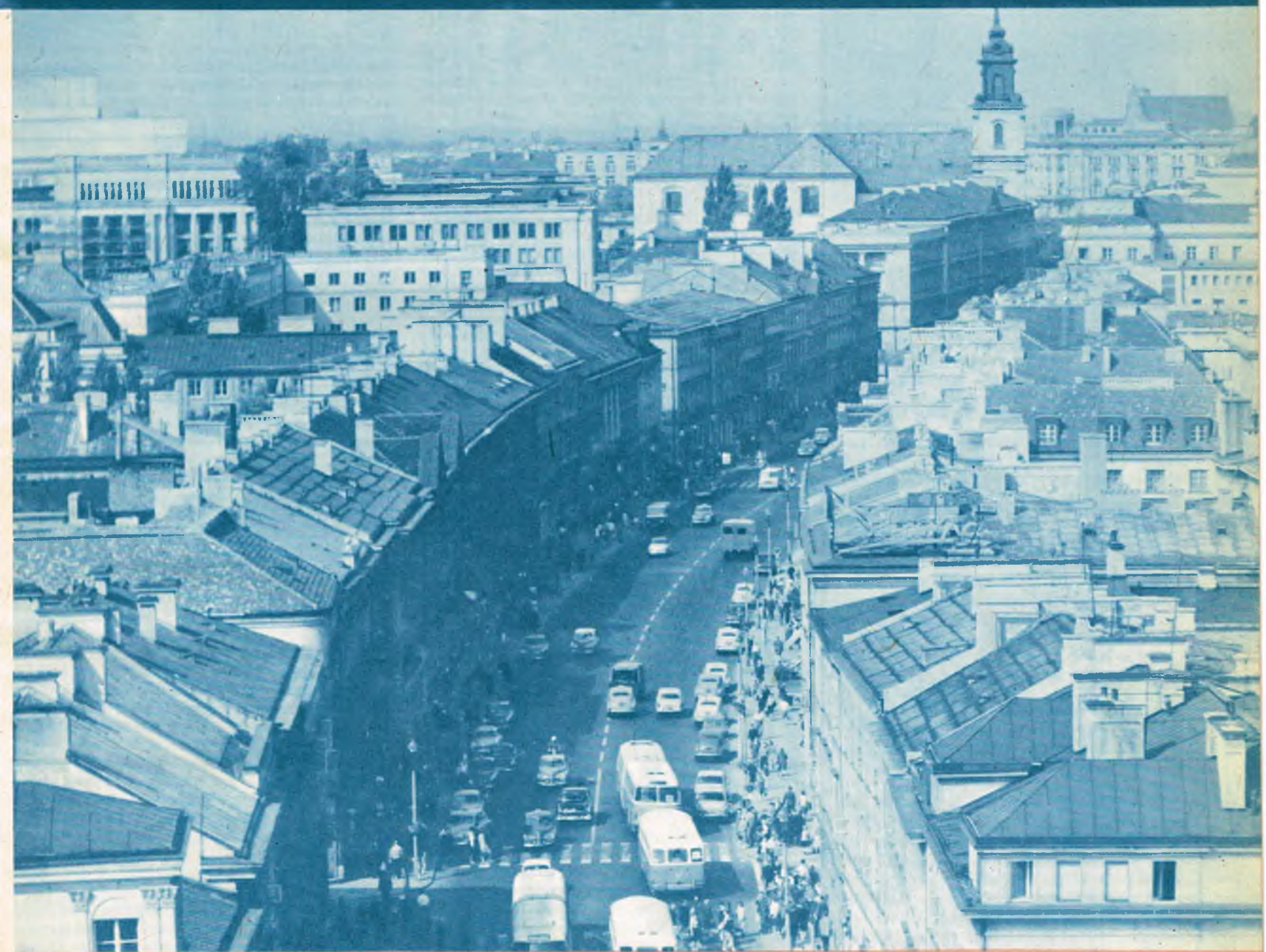
KATOLICKI TYGODNIK

„Rodzina”

NR 36 (322) ROK VII

WARSZAWA 4. IX. 1966

CENA 2 ZŁ



Fot. J. Kreczmański

WRZESIEŃ — MIESIĄC WARSZAWY

XIV NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚW.

LEKCJA

Z listu św. Pawła Apostoła do Galatów
(5, 16–24)

Bracia: Według ducha postępujcie, a pożądliwości ciała nie ulegajcie. Ciało bowiem pożąda przeciw duchowi, a duch przeciw ciału, bo sprzeciwiają się one sobie nawzajem, abyście nie czynili cokolwiek chcecie. Jeśli duch wami kieruje, nie jesteście pod Zakonem. A jawne są uczynki ciała takie jak: porubstwo, nieczystość, bezwstyd, rozpusta, bałwochwalstwo, gusła, nieprzyjaźnie, swary, zawiści, gniewy, zwady, niesnaski, odstępstwa, zazdrości, zabójstwa, pijaństwo, obzarstwo i tym podobne; o których mówię wam, jak i przedtem mówiłem, że ci, którzy takich rzeczy się dopuszczają, królestwa Bożego nie dostąpią. A owocem ducha jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wspinałomyślność, łaskawość, wierność, skromność, wstrzemięźliwość, czystość. Przeciw takim nie ma Zakonu. A ci, którzy są Chrystusowi, ciało swe ukrzyżowali wraz z namiętnościami i pożądliwościami.

EWANGELIA

Według Mateusza (6, 24–33)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Nikt nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamoni. A przeto powiadam wam. Nie troszczcie się o życie wasze, co byćcie jedli, ani o ciało wasze, w co byćcie je przyoblec mieli. Czyż życie nie jest ważniejsze niż pokarm, a ciało niż odzienie? Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, że nie sieją, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyście wy nie daleko ważniejsi niżli oni? I kto z was rozmyślając może dodać do wzrostu swego lókcie jeden? A o odzienie czemu się troszczycie? Przypatrzcie się liliom polnym jako rosną: nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, że nawet Salomon we wszystkich chwale swojej nie był tak przybrany, jako jedna z nich. Jeśli więc tę trawę polną, która dziś jest a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was, małej wiary. Nie troszczcie się tedy, mówiąc: co będziemy jeść, albo co będziemy pić, albo czym się będziemy przyodziewać? Bo o to wszystko poganie się pilnie starają. Albowiem wie Ojciec wasz niebieski, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcie tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane.

„Jeśli trawę polną, która dziś jest, a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was, małej wiary”
(Mt. 6, 30)

Słyszając dzisiejszą Ewangelię musimy szczerze wyznać, że wydaje nam się ona wprost nieprawdopodobnie piękna i pełna pociechy. Mimo woli powstaje w sercu pytanie: „Czy można tę Ewangelię brać dosłownie, czy możemy w nią wspaniałomyślnie wierzyć?” Czy naprawdę winniśmy wszystkie nasze doczesne troski powierzyć lekkim sercem Ojcu niebieskiemu? Czy jednak nie jest wskazane, żebyśmy przy całym naszym zaufaniu pokładanym w Bogu sami się nieco zatroszczyli o własne bezpieczeństwo? Podobne uczucia i myśli zrodziły się z pewnością w sercach również tych, którzy jako pierwsi usłyszeli słowa Zbawiciela, tj. jego uczniów. Stąd też nazwał ich „małej wiary”. Ten lekki zarzut odnosi się z pewnością także do nas. Uczniowie bez wątplenia wierzyli, bo inaczej nie byliby poszli za Chrystusem, i w pierwszym zapale wszystko dla niego opuścili. Ale ciągle od nowa opanowywał ich jakiś tajemniczy lęk, że na zbyt wiele się odważyli; że porzucili swój dotychczasowy skromny wprawdzie, lecz pewny tryb życia dla jakiejś może wspaniałej, lecz niepewnej przyszłości. I dlatego pozostali ludźmi małej wiary. My również cenimy sobie nieco słowo Boże, bo inaczej nie bylibyśmy katolikami praktykującymi. Ale czy i my nie stajemy się ludźmi małej wiary wobec tych wielkich obietnic, które brzmią wprost niewiarygodnie, chociaż pochodzą od samego Zbawiciela, który na pewno nie chce nas w błąd wprowadzić i złudną uspić pewnością? Czy nie czujemy się jakoś nieswojo, gdy tak całkowicie mamy zdać się na Boga? Jak długo napawa nas lękiem prowadzenie, opieka i Opatrzność Boska, tak długo zasługujemy na miasto ludzi małej wiary. Widocznie Zbawiciel nie jest wtedy z nas zadowolony, gdyż pragnie On, byśmy się nie ograniczali tylko do odrobiny małej wiary, do wiary z ostrożnością i z pewnym zastrzeżeniem. Lecz w jaki sposób możemy się stać ludźmi wielkiej wiary, tj. prawdziwie wierzącymi? Tylko wtedy, gdy zdobędziemy się na niezachwiane przekonanie, że Pan Bóg jest nie tylko większy niż nasz rozum, ale także większy niż nasze serce.

Bóg jest większy niż nasz rozum. Znawcy dusz ludzkich powiadają, że wiara to zawsze pewne ryzyko wymagające dużo odwagi. Jest to po prostu skok z gruntu rzeczy widzialnych, dotykalnych i obliczalnych w element zupełnie obcy pełen tajemnic. Takim ryzykiem jest wiara wtenczas, gdy wymaga uznania nauki Chrystusowej we wszystkim, co Kościół do wierzenia podaje. Lecz ten odskok nie może być dla nas zbyt trudny, gdy się nad tym rozumnie zastanowimy: Bóg, który nie posiadałby żadnych niepojętych tajemnic, który nie byłby większy niż nasz słaby rozum ludzki, nie byłby w ogóle żadnym Bogiem. O wiele trudniej natomiast jest dla nas, ułożyć sobie życie według naszej wiary. Nie jest to rzeczą łatwą zdobyć się zawsze na zaufanie, że odrywając się od swego własnego pewnego świata i oddając się opiece Bożej, nie wpadamy w żadną próżnię, lecz że podejmują nas miłościwie ojcowskie ręce samego Boga. Do tego potrzeba wielkiej wiary, bo mała wiara nie wystarcza. Idzie tu bowiem o rzecz poważną, mianowicie o oderwanie się od całego świata i oddanie się zupełne Bogu. Dopiero gdy się na ten wielki czyn zdobędziemy, przestajemy być dziećmi tego świata, a stajemy się prawdziwymi dziećmi

Bożymi, dziećmi naszego Ojca w niebiesiech, który wie, czego nam potrzeba. Wtedy nie mamy już nic wspólnego z „poganami”, którzy muszą troszczyć się o sprawy tego świata nie wiedząc, że mądra dobroć ojcowska załatwi wszystko o wiele lepiej, niż by to uczyniła nasza przezorność i gorliwość. „A to wszystko” Ojciec niebieski nam „przyda”, jeżeli wpiery szukać będziemy Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego. A więc nie krzątanie się około spraw doczesnych, nie pozwalające na wzniesienie oczu ku górze, daje nam większą pewność i radość na ziemi. Przecież moglibyśmy przy tym zapomnieć o warunku wstępnym, który nam dopiero otwiera zapory błogosławieństwa niebieskiego. A ten warunek wstępny podaje nam Boski Zbawiciel mówiąc: „Szukajcież tedy naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego” (Mt. 6, 33), to znaczy, że nie mamy czynić tego, co rozum ludzki, lecz co wola Boża uważa za właściwe. Człowiekowi potrzebna jest jedynie ta sprawiedliwość, która usuwając wszelką nędzę daje pewność oraz prawdziwe i trwałe szczęście. Dlatego też tym sprawom, o które zabiegają „poganie”, nie powinniśmy poświęcić żadnego czasu.

Pan Bóg jest większy niż nasze serce. — Nawet wtedy, gdy staramy się rzetelnie o to, aby Bóg był z nas zadowolony, musimy przyznać, iż trudną to dla nas rzeczą, pokładać bezgraniczne zaufanie w najwyższej mądrości i dobroci Bożej. Codzienne potrzeby są tak nam bliskie, a Pan Bóg zdaje się być tak daleki. Ciągłe musimy się z zawstyżeniem przyznawać, że nie mamy właściwego pojęcia o prawdziwej wielkości serca Bożego. Pewien pobozny mąż odbył na ten temat głębokie rozważanie. Przed oknem swego mieszkania wyłożył karmę dla zgłodniałych ptaszek. Teraz stoi za szybą przyglądając się, jak nadlatuje pierwszy ptaszek, mała sikorka. Biedne stworzenie spostrzegłszy za oknem niewyraźnie jakąś olbrzymią postać wystraszone odlatuje i znów przylatuje, i tak kilkakrotnie, aż wreszcie zmuszone głodem, który jest silniejszy niż strach, chwyciło okruch i odlatuje z nim, chowając się w gąszczu jakiegoś krzaku. Gdyby ten ptaszek wiedział, jak życzliwy jest dla niego stojący za oknem człowiek, przylatywałby tu bez lęku codziennie. Czy i my nie postępujemy podobnie wobec nieskończonej dobroci Boga, który codziennie tak hojnie nakrywa nam stół i naprawdę jest nam życzliwy? Czy i ty nie masz wrażenia, że Bóg jakby za jakąś szybą zdaje się taki straszny i olbrzymi? Gdybyśmy się w końcu potrafili zdobyć na taką wielką wiarę, że Ojciec niebieski nas zna, miłuje i pragnie dla nas najlepiej, starając się dla nas o wszystko, zanim myśmy o tym pomyśleli. Jak szczęśliwy byłby człowiek, gdyby, rezygnując z bezpieczeństwa opartego na przezorności ludzkiej, zaufał bez reszty Bogu! Wszak na każdy dzień zsyła nam Pan Bóg to, co nam jest potrzebne do życia! Powinniśmy wreszcie zrozumieć Jego ciche zaproszenie: „Weź i jedź!” — Święty Cyryl Aleksandryjski podaje w swoim piśmie przeciw Julianowi, że dawni Egipcjanie przedstawiali sobie Boga jako wielkie oko świata, które wszystko przenika i bada. Dlatego sporządzili złote berło, na końcu którego znajdowało się szeroko otwarte oko. Berło miało wyrażać moc i najwyższą władzę Boga, otwarte zaś oko jego wszechwładze. Umieszczając zaś oko na końcu berła chcieli przez to wyrazić, że Pan Bóg ze swej wysokości wszystko ogarnia. — Grzesznik „nie rozumie, że wszystko widzi oko Najwyższego, a nie baczy, iż oczy Pańskie daleko są jaśniejsze od słońca, wypatrujące wszystkie drogi ludzkie i ludzkie serca, patrzące na skryte strony” (Syr. 23, 27, 28).

POLSKI WRZESIEŃ

Są pewne sformułowania, które budzą zastrzeżenia, a jednak trudno się oprzeć ich urokowi, trudno ich się wyzbyć, czy też wykazać ich całkowity bezsens. „Polski wrzesień” — mówimy, myśląc o wrześniu 1939 roku. Dlaczego „polski”.

15 sierpnia 1939 r. lord Halifax pisał: „Mam wrażenie, że Herr Hitler jest ciągle niezdecydowany, że chce uniknąć wojny i wstrzymać się od uderzenia, jeżeli tylko to może zrobić bez skompromitowania się”.

21 sierpnia wypowiadał się w tym samym duchu ambasador francuski Coulondre: „Jednym z głównych niebezpieczeństw wojny w obecnej chwili są wątpliwości, jakie może mieć rząd Rzeszy co do istotnej woli Francji i Anglii przyjscia z pomocą Polsce”.

Herr Hitler był niewątpliwie niezdecydowany, miał na pewno poważne wątpliwości, czy Francja i Anglia poważnie potraktują swoje gwarancje i zobowiązania sojusznicze, ale jednocześnie już od dawna postanowił zlikwidować Polskę i rozpuścić swych siepaczy po całej Europie, aby zamienić ten kontynent w ziemię owocuującą dla Niemiec.

W pamiętnikach francuskiego ambasadora L. Noela czytamy, że „31 sierpnia między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą, ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii wraz z Charge de'Affaires Stanów Zjednoczonych dostali zaproszenie na Wilhelmstrasse, gdzie von Weizsäcker zakomunikował im „dla orientacji” ich rządów notę i „propozycję” ogłoszone dopiero co przez radio... Wszyscy trzej przedstawiciele mocarstw zachodnich powrócili do swoich ambasad zadając sobie pytanie, jak należy rozumieć otrzymaną wiadomość, ale nie wiedzieli jeszcze, że sytuacja jest przesadzona” (cyt. w/g wydania Ins. Wyd. „Pax” 1966). Świetnie umiał grać Herr Hitler rolę niezdecydowanego i doskonale naśladowali go jego podkomendni, skoro po przeprowadzeniu pełnej koncentracji swych wojsk na granicach Polski, po zorganizowaniu całej olbrzymiej machiny okupacyjnej, gotowej do wyjazdu na z góry wyznaczone placówki — przedstawiciele zainteresowanych mocarstw w Berlinie — na parę godzin przed napaścią „nie wierzyli, że sytuacja jest przesadzona”.

W parę godzin po tym wyreżyserowanym akcie von Weizsäckera 44 dywizje hitlerowskie, w tym dwaście dywizji pancernych przekroczyło granice polskie.

Wiele farby drukarskiej zużyto, aby odmalować tragedię owych dni: rozgardiasz, bałagan, zdradę, niedołęstwo. Najbardziej upamiętnił się most zaleszczycki, po którym uciekali sanacyjni dygnitarze. I każdy, kto czuł się powołany do dorzucenia kamienia na kopiec narodowej hańby, stawał później na tym moście i rzucał kamieniem we wszystko, co było „polskim wrzesniem” i pluł na wszystkich, którzy w tym tragicznym wrześniu włą barwnej, przysłowiowej powiaśki z szablą szarżowali na czołgi. Zdaje się jednak, że wypluliśmy już wszystko cośmy wypluć mogli i nadszedł czas na rzeczową ocenę.

Niewątpliwie — były winy i byli winowajcy. Był rozgardiasz i był bałagan. Była słabość ekonomiczna i militarna. Było osamotnienie (stwierdzam fakt, pomijam kwestię winy) i było oskrzydlenie. Była zapew-

ne i zdrada... Ale jest to tylko część prawdy o wrześniu. Ta część, która najbardziej utkwiała w umysłach polskich. Ale jest jeszcze druga jej część. Zupełnie odmienna.

Biorę do ręki książkę F. Ryszka pt. „Noc i mgła” (1966 r.) „Kampania wrześniowa — czytam w niej — przysporzyła wiele przykładów znanego powszechnie męstwa polskiego żołnierza... Nieliczny garnizon polski na Westerplatte na terenie Wolnego Miasta Gdańska, zaatakowany pierwszego dnia wojny przez zgrupowanie gdańskich oddziałów SA i SS przy poparciu ciężkiej broni z ładu i z pancernika Schleswig-Holstein, bronił się osiem dni i skapitulował dopiero wskutek braku zaopatrzenia i ze względu na rannych... W największej bitwie krótkiej kampanii wrześniowej nad Bzurą udało się większemu zgrupowaniu polskiemu, złożonemu z pięciu dywizji piechoty i dwóch brygad kawalerii, przerwać okrażenie wroga, aby osłonić stolicę...”

Franciszek Ryszka niewiele przytacza przykładów. Zapewne dlatego, że inny był cel jego książki, inne zamierzenia. Wrzesień jest w niej tylko drobnym epizodem.

Sięgam po „Przepustkę do Historii” Zbigniewa Żaluskiego. Muszę przyznać, że mam słabość do tego autora. Za jego trafność sformułowań, za śmiałość w podejmowaniu tematyki, za dużej miary obiektywizm. Dlatego pozwolę sobie na większy cytat ze wspomnianej książki, tym bardziej, że jest w tym cytowanym fragmencie sugestywna „ale obiektywna” analogia do późniejszych walk, toczonych z najeżdżącą hitlerowskim we Francji.

Zbigniew Żaluski pisze: „Wojsko polskie, zaskoczone w toku mobilizacji i koncentracji (1 września o świcie w przewidzianych planem rejonach znajdowało się tylko 66⁰/₀ piechoty, 73⁰/₀ kawalerii i 57⁰/₀ artylerii), biło się jednak 35 dni, podczas gdy sojusznicze armie: francuska, angielska, belgijska, holenderska, zmobilizowane i skoncentrowane w 100⁰/₀ broniły się tylko 38 dni, a jeśli liczyć nawet do ostatniego strzału (oddanego zresztą przez... Polaków) tylko 43 dni.

Pamiętać przy tym trzeba, że w 1940 r.:

a) alianci posiadali przewagę liczebną nad Niemcami — 157 związków taktycznych przeciwko 143 (w Polsce przewagę mieli Niemcy — 64 dywizje przeciwko 48 polskim dywizjom przeliczeniowym, licząc po dwie brygady za równowartość jednej dywizji);

b) alianci mieli mniej więcej równorzędne ilościowo i jakościowo lotnictwo (w Polsce Niemcy mieli co najmniej 6-krotną przewagę liczebną, nie licząc nie dającej się wyrazić przewagi jakościowej);

c) alianci posiadali liczebną i jakościową przewagę w czołgach (w Polsce mieli Niemcy co najmniej 15-krotną przewagę liczebną);

d) armie alianckie miały przewagę w ilości związków szybkich — 17 dywizji pancernych i zmotoryzowanych oraz 8 dywizji i 4 brygady kawalerii przeciwko 16 dywizjom pancernym i zmotoryzowanym i 1 dywizji kawalerii Wehrmachtu (a w Polsce Niemcy mieli 15 dywizji i 4 pułki pancerne i zmotoryzowane oraz 1 brygadę kawalerii przeciwko polskim 2 brygadam zmotoryzowanym i 11 brygadam konnym);

e) armie sojusznicze na Zachodzie broniły granicy nieomal prostej, w połowie trudno



Fot. J. Kreczmański

dostępnej, a w połowie nieomal że niedostępnej, dzięki wzmocnieniu jej linią Maginota. Armia polska broniła granicy półkolistej, oskrzydłującej całość terytorium kraju, łatwo dostępnej i nie umocnionej — „granicy tej nie mogłaby obronić żadna z ówczesnie istniejących armii” (J. C. Fuller)...

Prawie jednakowymi siłami uderzyli Niemcy na samotną Polskę w 1939 roku i na całą koalicję mocarstw w 1940 r.”.

I wspomnieć jeszcze chyba warto — tak po prostu dla przykładu, bo wspomnienie to — to również tylko część prawdy — że dowódca lądowej Obrony Wybrzeża uolał paść sobie w łeb niż złożyć broń (dodajmy, że nie on jeden), że gen. Bołtuć poległ w walce prowadząc do ataku z karabinem w rękę resztki swej dywizji, że gen. Wład padł na posterunku, opracowując plan przeprawy przez Bzurę, że gen. Abraham ciężko ranny przez wiele dni nie schodził z konia, prowadząc swych żołnierzy do wyznaczonego celu...

A więc nie wszyscy zdążyli na most w Zaleszczykach...

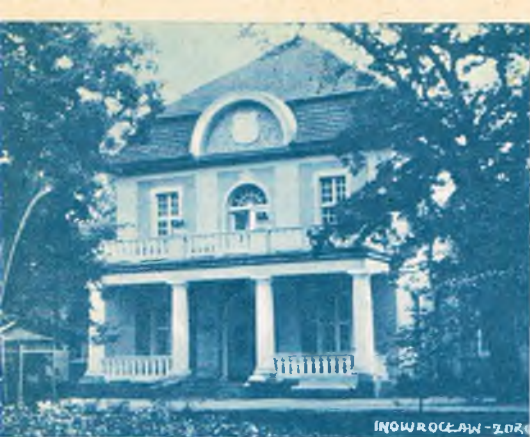
A więc może jednak „polski wrzesień”. Wrzesień polskiego poświęcenia i bohaterstwa, przelanej ofiarnej krwi w beznadziejnych warunkach. Wrzesień żołnierskiej męki i śmierci w słonecznym żarze na rozkwitłych wrzosach. Wrzesień jedności narodowej i walki ludu. Bezpardonowej walki i tych z pałaców i tych spod strzech. I tych w więziennych pasiakach...

Uczcijmy bohaterstwo wrześniowych żołnierzy. Jak w żołnierskim apelu pochylmy głowę.

— Bohaterowie Westerplatte, obrońcy Gdyni i Katowic, żołnierze bitwy w Borach Tucholskich i nad Bzurą, żołnierze spod Kocka, obrońcy Warszawy, Modlina i Helu.

— Cześć Waszej pamięci.

— Nie zapomnimy Was. Do ostatniego tchu pracować i walczyć będziemy, aby wróg, z którego ręki padliście, nigdy się nie podźwignął i nigdy nie mógł zagrozić ziemi naszej.



INOWROCŁAW - ZDR.

Mieszkańcy Inowrocławia korzystali z kąpeli mineralnych już w XVI i XVII wieku. Wówczas, to Inowrocław posiadał łaźnię parową, z natryskami i masażami. Mówi o niej dokument wydany przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1450. Na dalsze ślady o kąpielach w Inowrocławiu nie natrafiamy w żadnym z dokumentów. Woda na terenie miasta wciąż jest słona i to stwarza „klimat” do powstania i rozwoju uzdrowiska w Inowrocławiu.

Na inowrocławską solankę zwrócono baczniejszą uwagę jako na środek leczniczy w r. 1835. Lecz dopiero w r. 1872 pomyślano o wykorzystaniu jej w zabiegach balneologicznych. W tymże roku dzięki zabiegom d-ra prawa Zygmunta Wilkońskiego, dziedzica Rabina, zawiązało się „Towarzystwo Akcyjne Solankowe”, które wybudowało w r. 1875 zakład kąpielowy (tzw. „dom kuracyjny”), zarządzając zarazem wokół niego park 20-morgowy. Już w r. 1881 zakłady te przeszły na własność miasta. Ale Niemcy



nie chcieli dopuścić do konkurencji w stosunku do swoich „badów”. Toteż należyty rozwój uzdrowiska inowrocławskiego rozpoczął się dopiero w Polsce w latach międzywojennych.

Od r. 1923 do 1930 wybudowano dwa zakłady: kąpeli borowinowych i kąpeli solankowych oraz otwarto zakład przyrodoleczniczy z wzięwalnią. Urządzenia zakrojono na miarę europejską. Rozbudowały się i pensjonaty. W prywatnych willach i pensjonatach przebywało 7.200 kuracjuszy w czasie sześciomiesięcznego sezonu letniego: od maja do września. Obecnie w ciągu roku przebywa w sanatorium PPU — 4.200 osób i w sanatorium kolejowym — 2.600 osób. Liczba leczonych osiąga więc zaledwie 47% natężenia frekwencji przedwojennego sezonu letniego.

Mimo że Inowrocław-Zdrój posiada wysmienite warunki do rozbudowy lecznictwa i sanatoryjnego i ambulatoryjnego, zakłady przyrodolecznicze są wykorzystywane w połowie swej maksymalnej pojemności. Plan perspektywiczny określa wielkość uzdrowiska na 25.000 kuracjuszy sanatoryjnych rocznie (w tym i domy zdrowia) i

1.100 kuracjuszy ambulatoryjnych w okresie maksymalnego letniego nasilenia. Jest to szczytowa pojemność Inowrocławia-Zdroju. Dotychczas kuracjuszy ambulatoryjnych bywa niewielu — dochodzi 300 osób w ciągu roku i to przeważnie z miasta Inowrocławia. Z wsi, rozrzuconych w promieniu 30 kilometrów, niewielu dojeżdża, bo, albo ludzie potrzebujący leczenia ambulatoryjnego nie są przebadani w ośrodkach zdrowia i skierowani do niego, albo zbadani i skierowani nie przyjeżdżają do Inowrocławia ze względu na koszty podróży do 12 zł w jedną stronę samochodem komunikacyjnym. Takie informacje uzyskałem w wydziale zdrowia Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Inowrocławiu dnia 2 czerwca 1966 r.

POŚRÓD DRZEW W PARKU ZDROJOWYM

Uzdrowisko mieści się w zachodniej stronie miasta Inowrocławia, na krańcu 42,5-hektarowego parku zdrojowego. Łączy się z centrum miasta dzielnicą willowo-zdrojową. Tutaj z dala od zgiełku miejskiego skupia się życie zdroju: biuro usług, zakłady lecznicze, diagnostyczne, sanatoria, pensjonaty, pijalnia wód mineralnych, klub zdrojowy, kawiarnia, muszla koncertowa, w której w sezonie letnim gra codziennie orkiestra. Park obfituje w barwne klomby i kwietniki. Na kwietnikach, starannie pielęgnowanych, przykuwają oczy prześliczne begonie, wielokwiatowe, drobnokwiatowe. Dwa stawy, po których można pływać łodziami. Na brzegu jednego ze stawów znajduje się kawiarnia. Prócz tego są place tenisowe oraz place do zabaw dziecięcych. Tuż przy parku plac sportowy.

W parku wznosi się imponujący, nowoczesnie urządzone przyrodoleczniczy — wzięwalnia z dwoma obszernymi działkami wodoleczniczymi (kobiecy, męskim), obszerne sale do kocowań i suchych natrysków, oddziały do przegrzewań światłem, gorącym powietrzem i parą, higieniczne wzięwalnie, oddział elektroterapii i naświetlań, emanatorium radowe, oddział kąpeli solankowych oraz na płaskim dachu urządzenia do kąpeli słonecznych i powietrznych, z natryskami.

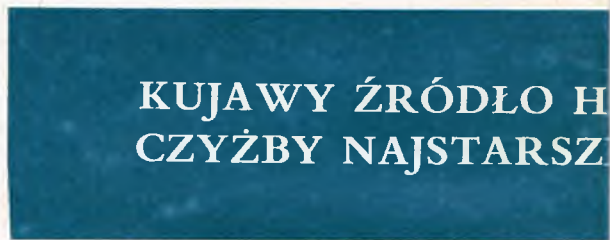
ZDROWIE W WODZIE I W WZIEWANIU

Zabiegi przyrodolecznicze stosuje się na szeroką skalę. W zakładzie przyrodoleczniczym zaprowadzono bogate i nowoczesne urządzenia, za pomocą których przeprowadza się natryski: szkockie, solankowe, piaszczowe, zwykłe, szafkę parową, masaż pod wodą, kąpiel nożną, przepłukiwanie specjalne. Emanatorium radowe posiada siłę promieniowania 67 jednostek Machego na litr powietrza. Emanację radową stosuje się najczęściej poprzez wzięwanie, lecz można ją także rozpuścić w wodzie i używać do picia albo kąpania. Działa leczniczo w chorobach artretycznych i reumatycznych, w schorzeniach nerwowych i nerwobólach, wadliwej przemianie materii i w nadmiarze ciśnienia krwi, w przemęczeniu, w przepracowaniu, w przedwczesnym starzeniu się i w zaburzeniach gruczołów dokrewnych. Skuteczny środek na anemię i impotencję.

Przy samym wejściu do parku znajduje się obszerny i okazały zakład kąpeli solankowych. Posiada on urządzenia na kilkadziesiąt waniek do kąpeli solankowych i kwasowęglowych. Z braku szczaw (źródła) kąpiele kwasowęglowe przyrządza się w sposób sztuczny. Sztuczne przyrządzenie nie umniejsza w niczym wartości leczniczych. Kąpiele kwasowęglowe mają duży wpływ na nerwy i choroby skórne, narządy

oddechowe: nos, gardło, migdały, krtań, oskrzela, rozedmę płuc oraz pozostałości po zapaleniu płuc i opłucnej, serce.

Powszechnie znanymi środkami leczniczymi Inowrocławia jest przede wszystkim jodobromowa solanka (28–31‰), dostarczana rurociągiem z kopalni soli w Solnie do własnych zbiorników, skąd pompuje się ją do poszczególnych zakładów i sanatorium, oraz nie mniej bogaty w sole lecznicze ług pokrystaliczny, który otrzymuje się po wywarzeniu solanki w państwowej żupie. Solanka zawiera chlorek sodu, sole potasu, wapnia, magnezu, siarczan, węglany oraz rzadko w wodach leczniczych spotykane jony boru, strontu, litu i kwasu borowego. W ługu natomiast znajdują się w wielkich ilościach sole uboczne, wzmacniające wydatnie kąpiele jonami potasu, magnezu siarczanu, jodu, bromu. Kąpiele solankowe zaleca się przede wszystkim w celu usunięcia stanów zapalnych i występujących wskutek



nich cierpień organizmu, a szczególnie przy zółtach, chorobach kości, stawów, oczu. Korzystny wpływ wywierają kąpiele przy chorobach kobiecych (niepłodność, niedorozwój i zaburzenia okresu przekwitania), chorobach dzieci (skrofuloza, krzywica, skaza limfatyczna, anemia), błony płucnej i brzusznej, zwłaszcza poprzez kąpiele nauheimskie.

Solanki w Inowrocławiu siłą leczniczą nie ustępują w niczym takim samym wodom zagranicą: Ischl, Kreuznach, Nauheim itd., zawierających w wielkiej ilości związki żelaziste i sole surowe. Wartościowym środkiem leczniczym Inowrocławia jest również i borownia, którą się kopie na miejscach łąkach koło Mątew. Jest to rodzaj torfu powstały z daleko posuniętego zbudowania resztek roślinnych oraz z miálu mineralnego. Choć złoza borowinowe w Mątewach już się wyczerpują, to na szczęście nowe pokłady znajdują się w okolicy Pakości.

Wobec braku gorzkiej wody mineralnej w Polsce dyrekcja uzdrowiska przeprowadza badania doświadczalne wokół odparowania solanki z odwiertu „D” (solanka gorzka), w celu uzyskania leczniczego ługu gorzkiego o dużej zawartości soli magnezowych i stosunkowo małej zawartości chloru sodowego. Z ługu tego przez odpowiednie rozcieńczenie uzyskuje się wodę gorzką.

Do kuracji pitnej służy obecnie niskoprocentowa solanka ze źródła „Kujawianka”. Solanka ta doprowadzana jest rurociągiem do pijalni, gdzie zostaje nasycona



INOWROCŁAW - ZDR.

ciśnieniem w saturatorze bezwodnikiem su węglowego. Do kuracji pitnej stosuje także solankę gorzką z odwiertu „D”. W najbliższych latach przewiduje się poszukiwania naturalnych wód mineralnych siarowochlorkowo-magnezowych i sodowych.

90 LAT W SŁUŻBIE ZDROWIA

otwarcie pierwszego sezonu zdrojowego (ankowego) nastąpiło w czerwcu 1876 r. Wieżącym roku mija równe 90 lat. Od tego czasu w latach międzywojennych 1925–30 wrocław-Zdrój wzbogacił się o zakład przyrodoleczniczy nr 2 i 3 i okazał się sanatorium z własnym pełnym węzłem kąpielowym, które dysponuje wannami do kąpiel mineralnych, solankowych, kwasowych, borowinowych oraz urządzeniami leczniczymi i aparatami elektro-fototerapeutycznymi. Dzisiaj jest to sanatorium kliniczne typu „łóżko-wanna-łóżko”, o specjalistyczne, ośrodek naukowo-leczniczy

WIELKI, ZDROWIA W POLSCE?

Sanatorium Balneoklimatycznego w Poznaniu, prowadzący na zabiegi korzystający z sanatorium 2, rozmieszczonego w kilku pawilonach (ulice: Narutowicza, Wilkońskiego, Dańskiego) w dzielnicy willowej. Chorzy w sanatorium podeszli wchłaniają rozpyloną i parowaną solankę przez oddychanie w sanatorium przyrodoleczniczym nr 3, położonym w parku zdrojowym wśród drzew. W sanatorium także sanatorium 3, sanatorium geriatryczne, z reprezentacyjnym halą – poczekalnią, z czytelną i salami oddychanymi.

Sanatorium powojennym jest sanatorium „Energetyk”. Uzdrawisko państwowe, rozbudowuje się w rozszerzonym parku 10 ha. Setna rocznica otwarcia zdrojowiska będzie miała pomnikiem troski o zdrowie swoich obywateli przez Polskę. Warto byłoby zwrócić szczególną uwagę na to, ażeby odwiedzający ziemie te, rodacy z zagranicy odwiedzali i leżeli się w jednym ze starszych zdrojowisk kraju. Na tym kończymy przechadzkę po zdrojowisku i cienistą ulicą udajemy się do sanatorium, ażeby dopełnić emocji i wrażeń.

SÓL... SÓL. SÓL ZIEMI

Inowrocław położony jest w okolicy jezior i rozległych lasów. Jest miastem nie tylko uzdrowiskowym, lecz także i przemysłowym. Naturalną bazą surowcową miasta są przypadki zasoby soli. Żywność z buraczano-pszeniczna kryje olbrzymie złoża soli kamiennej (tzw. wał „kujawo-morawski”). Toteż kilkadziesiąt metrów pod ziemią rozwija się i żyje drugi Inowrocław, znany m. in. ludziom zwiedzającym Inowrocław, gnące się kilometrami chodniki, trzęsące się z chłodu, w komorach na różnych głębokościach.

Kopalnia soli w Inowrocławiu jest stonką młoda. Bowiemy dopiero w r. 1794 Humboldt zwraca uwagę na możliwość wydobycia soli wskutek odkrycia gipsu. Teraz Inowrocław produkuje sól jadalną, leczniczą (jodowaną), bydlęcą, nawozową, a wydobycie soli sięga 1 mln ton rocznie. Dużo soli eksportuje się do krajów bałtyckich. Zasoby solanki wg ostatnich badań są nieograniczone. Solanka inowrocławska służy jako główny surowiec do wydobycia sodowych w odległych o 9 km kopalniach.

MIKOŁAJ KOLEDYŃSKI

JEDEN Z GNIEŹNIEŃSKICH METROPOLITÓW

(3)

Podstęp i przewaga militarna zbuntowanych polskich możnowładców wypędziła w 1145 r. księcia Władysława II z kraju. Nazwano go dlatego Wygnańcem.

Watykańskie kroniki zapisały, że podczas Wielkiego Postu 1146 r. przybyło do papieża Eugeniusza III poselstwo od księcia Władysława (przebywającego w Niemczech) ze skargą na gnieźnieńskiego arcybiskupa i podległy mu episkopat o popieranie buntu przeciw prawowitej władzy państwowej w celu obalenia Testamentu Bolesława Krzywoustego. Papież rozpatrywał skargę dopiero w dniu 31 grudnia 1146 r., lecz już wcześniej, bo w maju 1146 anulował – za pośrednictwem biskupa Henryka z Morawy – kościelną klątwę rzuconą w Poznaniu przez arcybiskupa Jakuba ze Żnina. W piśmie do Jakuba papież zażądał przysłania sobie listów z dokładnym sprawozdaniem o wypadkach zaszłych w Polsce, a gdy arcybiskup żądanie zlekceważył, papież wysłał do Polski legata w osobie kardynała Gwidona.

Na powyższy temat pisze ks. Jan Korytkowski: „Już był przeznaczony do Polski kard. Gwido jako legat papieski, aby się rozpatrzył w sprawach Kościoła polskiego i synów Bolesława Krzywoustego z najstarszym bratem pogodził, lecz gdy rycerstwo krzyżowe zbierało się poczęło do pochodu, papież zmienił postanowienie swoje i przydał kardynała cesarzowi do boku jako towarzysza, doradcę i reprezentanta Stolicy apostolskiej w obozie... Ze arcybiskup Jakub wspólnie z biskupami polskimi w sprawach publicznych czynny brał udział a mianowicie do wydziedziczenia księcia Władysława wielce się przyczynił i według możliwości swej krzyżował jego zabiegi i plany względem odzyskania ojcowizny, dowodził wymownie ciekawy dokument z r. 1148, dnia 22 marca, w którym król Henryk, syn cesarza Konrada, zaniósł skargę do odbywającego się podówczas synodu w Reims pod Eugeniuszem III na arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupów polskich, że się przyczynili do wywłaszczenia księcia rzeczowego do spuścizny ojcowizny” („Arcybiskupi gnieźnieńscy... Poznań 1889. t. I, s. 244).

Z tej notatki gnieźnieńskiego kanonika wynika, że a) kard. Gwido nigdy legatem w Polsce nie był, b) papież nie interesował się wygnaniem księcia Władysława, c) interwencja „króla niemieckiego” (regenta – pod nieobecność króla) skończyła się na niczym, d) arcybiskup Jakub ze Żnina oraz jego biskupi brali „czynny udział” w obaleniu Testamentu Krzywoustego i odebraniu Władysławowi Wygnańcowi nawet dzielnicy jego dziedzicznej tj. Śląska. Widać, że antypaństwowa działalność episkopatu jest w oczach ks. Korytkowskiego specjalnym tytułem do chwały, czymś, z czego można się chlubić.

Co do legacji kard. Gwidona i stosunku pap. Eugeniusza III do sprawy wydziedziczenia Władysława Wygnańca musimy oprzeć się na dokumentach, które pominał zarówno ks. Korytkowski jak i wszyscy rzymskokatolicki kronikarze i historycy.

W zbiorze pt. „Monumenta Poloniae historica” (tom II) znajdujemy najpierw wspomniany przez ks. Korytkowskiego list regenta Henryka (syna króla Konrada III przebywającego w Palestynie) do pap. Eugeniusza III. Henryk prosi papieża, aby pomógł Władysławowi i jego żonie, Agnieszce, odzyskać tron polski. Papież w dniu

1 kwietnia 1148 przyrzeka Henrykowi, że załatwi tę sprawę „przez swego nuncjusza, którego do tego kraju wyznaczę”.

W pierwszych dniach stycznia 1150 r. kard. Gwido zawiadania króla Konrada (po zakończeniu krucjaty palestyńskiej), że na przeciwników Władysława rzucił klątwę i poprosił papieża o jej potwierdzenie. Według praktyki włosko-niemieckiej owych czasów klątwa oznaczała pozbawienie władzy politycznej lub kościelnej więc kard. Gwido poprosił Konrada, by ruszył na Polskę ze swą armią i wykonał wyrok.

Najbardziej dla rzymskokatolickiego obozu w Polsce nieprzyjemny jest list pap. Eugeniusza III z dnia 23 stycznia 1150 r. zaadresowany do „braci arcybiskupów, biskupów i innych kościelnych prałatów ustanowionych dla Polski”. Papież na wstępie przypomina, że ongiś wysłał do Polski kard. Gwidona, który „stronictwo odmawiające posłuchu dla jego upomnień i grabieżców ziemi owego księcia obłożył klątwą i zakazał w ich państwie odprawiać religijne obrzędy”. Widać z tego, że już przed 1150 rokiem był w Polsce legat papieski oraz to, że rzucił klątwę na buntowników (braci Władysława i feudałów, do których należeli biskupi) a na cały kraj – interdykt. Dalej papież pisze do biskupów: „Wy zaś, jak się dowiadujemy, nie stosujecie się wcale do tego wyroku: twierdząc, że (legat) nie uczynił tego z naszego polecenia. Ponieważ jednak on tak postąpił z naszego rozkazu, my niniejszym zatwierdzamy zarówno rzuconą przezeń ekskomunikę jak i wyrok interdyktu... Ty zaś, bracie arcybiskupie, na którym najbardziej ciąży z racji twego urzędu obowiązek dopilnowania, by winni zostali ukarani, ogłoszisz to wszystkim swoim sufraganom i innym prałatom kościelnym i zarówno sam wyrok ów dokładnie wykonasz jak i dopilnujesz, by został wykonany, wiedząc, że jeżeli ktoś z was tego wyroku nie zechce przestrzegać, nie uniknie gniewu św. Piotra i św. Kościoła rzymskiego”. (M.P.H. t. II, Warszawa 1961. s. 17).

Treść tego listu jest jednoznaczna. Papież zatwierdza klątwę legata: ekskomunikę oraz interdykt. Czy to zmieniło stanowisko arcybiskupa i episkopatu? Wszyscy historycy są jednomyślni w odpowiedzi na to pytanie: Biskupi polscy nie usłuchali papieża i jego klątwę się nie zlekli. Przeprowadzili w Polsce to, co chcieli, co było związane z ich interesem jako panów feudalnych. Nie wiadomo nic o jakichkolwiek skutkach „gniewu św. Piotra i św. Kościoła rzymskiego”. Władysław Wyganiec zmarł w 1159 r. na wygnaniu. Nie pomógł mu ani papież, ani cesarz (choć ces. Fryderyk Barbarossa w 1157 r. w wyprawie interwencyjnej podszedł aż pod Poznań). Dopiero w 1173r. zwrócono Śląsk synom Władysława, którzy z powodu wieloletniego pobytu w Niemczech zdolali się zniemczyć na tyle, by Śląsk na gwałt skolonizować osadnikami niemieckimi. Był to drugi ujemny skutek obalenia Testamentu Krzywoustego przez możnowładztwo, a zwłaszcza przez duchowną jego część.

A oto praktyczny wniosek z zachowania się ówczesnej hierarchii rzymskokatolickiej w Polsce: Gdy widzieli korzyści osobiste, potrafiła się oprzeć woli papieża mimo największych gróźb i nic się jej z tego powodu nie stało. Szkoda tylko, że akurat ówczesne interesy hierarchii sprzecznymi były z interesami polskiego państwa. Wolelibyśmy widzieć godny podziwu opór tej hierarchii w stosunku do rozkazów Watykanu w sprawach zgodnych z interesami naszego kraju. Doremnie jednak będziemy na to czekać, póki wierzący Polacy będą uważać, że niemożliwa jest szczerza, katolicka wiara bez słuchania rozkazów „nieomyślnego” papieża. Skoro Kościół stanowi przed wszystkim wierni świeccy, oni powinni decydować w tej sprawie i nie pozwolić swoim biskupom czynić cokolwiek, co szkodzi Polsce – bez obawy o „gniew św. Kościoła rzymskiego”. Wolno było biskupom lekceważyć ów „gniew” dla szkody Ojczyzny – wolno laikom ów „gniew” lekceważyć dla dobra Ojczyzny.

WAŻNY JEST POKÓJ I BEZPIECZEŃSTWO

Zanim przystąpimy do konkretnych propozycji Deklaracji w sprawie umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie, pomówmy o zagadnieniu, które stanowi niejako negatywną stronę problemu, a jednocześnie warunkuje możliwości rozwiązania tego problemu. Chodzi oczywiście o kwestię niemiecką. Od niej właściwie problem się zaczyna i można ryzykować twierdzenie, że na niej się kończy. Problem pokoju i bezpieczeństwa w Europie — to w dużym stopniu problem Niemiec. To Niemcy — raz cesarskie, następnym razem — hitlerowskie — rozpętały dwie wojny światowe. To oni nieśli zagładę, śmierć i zniszczenie innym narodom. To oni dali się uwikłać szaleńczym reżimom obłąkańczymi mitami o panowaniu nad światem i w imię tych imperialistycznych mrzonek rozpętały dwie wojny o zasięgu światowym.

Powojenne nadzieje na rozwiązanie problemu niemieckiego nie trwały długo. W konfrontacji z rzeczywistością, z interesami poszczególnych mocarstw zwycięskich, zwłaszcza zaś USA — realizacja decyzyjnych haseł stała się fikcją. W chwili obecnej przepaść między celami wojennymi aliantów i polityką bieżącą uległa pogłębieniu. Komitet Polityczny Państw Układu Warszawskiego precyzyjnie wyrażnie, kto ponosi winę za wytworzoną sytuację.

„Bezpośrednią groźbę dla pokoju w Europie — czytamy w Deklaracji — dla bezpieczeństwa narodów europejskich stanowi obecna polityka Stanów Zjednoczonych Ameryki, ta sama polityka, która w innym rejonie świata — w Azji południowo-wschodniej — doprowadziła już do rozpękania agresywnej wojny przeciwko narodowi wietnamskiemu...

Nie ulega wątpliwości, że cele polityki Stanów Zjednoczonych w Europie nie mają nic wspólnego z interesami narodów europejskich, ze sprawą bezpieczeństwa Europy...

Polityka Stanów Zjednoczonych w Europie — stwierdza w dalszym ciągu Deklara-

cja — realizowana w ciągu lat powojennych jest tym bardziej niebezpieczna dla narodów europejskich, że w coraz większym stopniu opiera się na zмовie z militarystycznymi i odwetowymi siłami Niemiec zachodnich...

Ta polityka znajduje wyraz w kształtowaniu się swóistego sojuszu między imperialistami amerykańskimi i odwetowcami zachodnioeuropejskimi”.

Wracamy więc do punktu wyjściowego. Kamieniem węgielnym pokoju i bezpieczeństwa w Europie stałoby się rozwiązanie problemu niemieckiego, a problem ten tym trudniej jest rozwiązać w chwili obecnej z tego powodu, że militarystyczne siły niemieckie znajdują poparcie i zrozumienie w podobny sposób myślących kołach polityków amerykańskich.

Autorzy Deklaracji zebrali niemałą porcję „grzechów” świadczących o tym, że na Zachodzie tzn. w NRF nic się nie zmieniło (a przynajmniej niewiele) od czasów niesławnej pamięci Adolfa Hitlera i jego zbrodniczych współpracowników. Na fotelu kanclerskim zasiada jowialny i starszy pan Erhard, nie jarosz, nie stroniący od uciech życia, pełen przeróżnych fobii Adolf, ale żądania rządu, któremu patronuje Erhard — jako żywo przypominają żądania zdegenerowanego Adolfa.

Wielki kapitał pracuje dla armii. Armia rośnie i potężnieje z każdym dniem. Półmilionowa Bundeswehra to już poważna siła, z którą trzeba się liczyć. A gdy dodamy do tego organizację paramilitarne, straży granicznej i przeróżnych związków o charakterze wojskowym, wtedy w pełni uświadomimy sobie, że nad Renem wyrosła potęga militarna, skierowana ostrzem w zupełnie określonym kierunku.

Adolf mógłby się cieszyć...

NRF wychowuje swych żołnierzy i oficerów — z których wielu ma za sobą służbę w wojskowych jednostkach Trzeciej Rzeszy i brunatne ubarwienie, młodzież szkolna i pozaszkolna w gloryfikacji historii niemieckich podbojów i w nienawiści do innych narodów. Iwan kammt (Iwan nadchodzi) to hasło, którym oficerowie budzą żołnierzy w czasie alarmu. Iwan (popularna nazwa nadawana Rosjanom), Polak, Czech, Jugosłowianin — to synonimy największych krzywdzicieli narodu niemieckiego. To oni „obrabowali Niemców z ich odwiecznych ziem, wyrzucili ich z ich sie-

dzib, maltretowali, więzili, zabijali”. Zarówno pamiętnikarska literatura generałów i żołnierzy nawiązująca do „dni chwały” hitlerowskich zwycięstw, jak i „pamiętnikarska literatura” szkalująca Polaków, Czechów, Rosjan za „bestialskie” traktowanie Niemców ma w NRF swoją określoną funkcję wychowawczą

Pamiętamy, że tak już było. Adolf mógłby się cieszyć...

Coraz głośniejszemu rozbrzmiewaniu w NRF wołanie o zmianę granicy. W 1945 roku wobec ogromu klęski imperialiści przycichli. Niepokoiła ich zapewne i przerażała również jedność aliantów. Traktat Poczdamski ustawił zagadnienie powojenne tak, że nie pozostawiał miejsca na odrodzenie awanturnictwa międzynarodowego. Gdy jedność aliantów stała się tylko wspomnieniem, zaczęli podnosić głowę. Coraz śmieiej. Coraz bezczelniej.

Dziś — rewizja i przywrócenie granic z 1937 roku — jest oficjalnym punktem programu wszystkich partii politycznych w NRF (z wyjątkiem zdelegalizowanej partii komunistycznej). Nie brak dużych zorganizowanych grup, które program ten uważają za program minimalistyczny.

Adolf mógłby się cieszyć...

Polityczny Komitet Doradczy Państw — sygnatariuszy Układu Warszawskiego sformułował pod adresem NRF ściśle określone postulaty. Oto one:

„Interesy pokoju i bezpieczeństwa w Europie i na całym świecie, jak również interesy narodu niemieckiego, by koła rządzące Niemieckiej Republiki Federalnej stały na gruncie realnie istniejącej sytuacji w Europie. Oznacza to, że powinny one przyjąć za punkt wyjścia fakt istnienia dwóch państw niemieckich, wyrzec się dążeń do zmiany granic europejskich oraz rozszczeń do wyłącznego reprezentowania całych Niemiec, poniechać prób wywierania nacisku na państwa okazujące gotowość uznania Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz wyrzec się przestępczego dyktatu monachijskiego i uznać go za nieważny od samego początku. Koła rządzące NRF powinny udowodnić czynami, iż istotnie wyciągają wnioski z lekcji historii, że kładą kres militarystyce i dążeniom odwetowym oraz że realizować będą politykę normalizacji stosunków między państwami, rozwoju współpracy i przyjaźni między narodami”.

Kraje socjalistyczne, które bezpośrednio po wojnie — można rzec za jednym zamachem — przeprowadziły nacjonalizację całej gospodarki, zetknęły się w tym zakresie z ogromną ilością trudnych i skomplikowanych problemów. Nie uniknęła ich również Czechosłowacja. Może to na pierwszy rzut oka dziwne i paradoksalne, ale szczególnie wiele kłopotów sprawiało rolnictwo. Masa indywidualnego chłopstwa, wchłonięta przez gospodarke znacjonalizowaną, nie bardzo wiedziała, jak się w tej sytuacji zachować, jak się do niej dopasować i jak w tej nowej sytuacji pracować, aby osiągać korzyści dla siebie, dla wspólnoty rolniczej i dla państwa. Z drugiej strony władze państwowe nie dysponowały odpowiednią kadrami kierowniczą, która potrafiłaby bezbłędnie poprowadzić spółdzielnie rolnicze po drodze rozwoju i postępu.

Rząd wybrał metodę zarządzania spółdzielniami rolniczymi — może nie najlepszą, ale w ówczesnych warunkach najskuteczniejszą — administracyjną — dyrektywnego kierowania. Właściciela gospodarzem (w znaczeniu właściciela zarządzającego) było państwo. Za pośrednictwem planu państwo określało rozmiary skupu, ilość upraw poszczególnych zbóż, wzrost hodowli zwierzęcej, decydowało o inwestycjach, o jakości i wzroście środków mechanizacji. To był pierwszy okres rozwojowy spółdzielni rolniczych, kiedy państwo było „dyrektorem”, kiedy rentowność i specyfika poszczególnych gospodarstw schodziła na plan dal-

ROLNICTWO CZECHOSŁOWACJI NA NOWYCH DROGACH

szy, bo rzeczą świętą i nienaruszalną był ogólnie ustalony plan.

Później bezpośrednie planowanie produkcyjne i towarowe zastąpiła kontraktacja, ale i wtedy jeszcze zasadniczy moment to znaczy system kierowania nie uległ zmianie.

Po pewnym czasie okazało się jednak, że spółdzielnie nie przynoszą spodziewanych korzyści, że nastąpił zastój. Rozwój spółdzielni uległ zahamowaniu. Nietrudno było odkryć, że przyczyną tego zjawiska jest system zarządzania, który w tym okresie rozwoju już nie spełnia swojej roli. Sprawę rozważył wszechstronnie Zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji i powziął odpowiednie uchwały co do systemu zarządzania spółdzielczością rolniczą, uwzględniając osiągnięty przez nie poziom rozwojowy. Uchwały Zjazdu KPC uwzględniły jednocześnie możliwość pełnego wykorzystania inicjatywy zrzeszonych w spółdzielniach rolników. Uchwały Zjazdu wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1967 r.

Na czym one polegają.

Skończył się etap administracyjnego zarządzania. Spółdzielcy czechosłowaccy dojrżeli i osiągnęli ten poziom uświadomienia politycznego i fachowości, że sami potrafią wygospodarować większy bochen chleba zarówno dla państwa jak i dla siebie, jeśli sami radzić będą nad sposobami gospodarowania. Państwo nie będzie więc dyktować spółdzielniom zadań produkcyjnych i towarowych, ale będzie zawierać z nimi umowy na dostawę produktów rolnych na określoną sumę. Czy spółdzielnia uprawiać będzie pszenicę czy owies i czy w konsekwencji dostawi jedno czy drugie zboże — to sprawa dla państwa obojętna. Istotną rzeczą jest wartość dostawy. Ta — na pierwszy rzut oka — dość drobna zmiana jest w rzeczywistości bardzo istotna. Spółdzielcy znają swoje gospodarstwo i jego możliwości produkcyjne. Ta znajomość pozwoli im obmyśleć i realizować taki rodzaj gospodarki (roślinnej, lub zwierzęcej), który będzie najbardziej rentowny, przyniesie największe owoce, będzie źródłem największego bogactwa. Zamiana systemu zarządzania (dotyczy ona również gospodarstw państwowych) spowoduje ścisłą specjalizację gospodarstw. Prace w tym kierunku są bardzo zaawansowane. W nowych warunkach kierownictwo spółdzielni (i gospodarstw państwowych) musi wykazać maksimum inicjatywy, przedsiębiorczości i fachowości, aby mogło owocnie spełnić swe zadanie, aby gospodarstwo utrzymać w pełnym rozwoju.

CZY MOŻNA OBLICZYĆ WARTOŚĆ CZŁOWIEKA

MR SKOKOWSKI — FENOMEN GERONTOLOGII

Od czasu, kiedy Napoleon powiedział: „Człowiek, który zna dwa języki, wart jest dwóch ludzi” — nie się w tej dziedzinie nie zmieniło na gorsze. Wręcz przeciwnie — lata ostatnie przekonały nas, że człowiek, który zna dwa języki, wart jest więcej niż dwóch ludzi.

I wobec tego uczy się dwóch, trzech i czterech nieraz języków obcych.

O tym wszystkim myślałam, idąc na spotkanie z panem magistrzem Edwardem Skokowskim, o którym wiedziałam, że tytuł magistra przed wojną otrzymał na Uniwersytecie Warszawskim za fundamentalną pracę z zakresu... sztuki ludowej, ale przez 10 lat był tłumaczem przysięgłym dla pięciu języków przy sądzie najwyższym USA.

— Jakże to były języki?

— Włoski, francuski, niemiecki, rosyjski i angielski. Angielski — oczywiście nie liczył się, jak zresztą i polski. Pierwszy dlatego, że rzecz działa się w Stanach Zjednoczonych, a polski przy sądzie najwyższym był wówczas obsadzony, gdy mnie nam przyjmowano do pracy.

— A więc zna pan właściwie siedem języków?

Mgr Skokowski uśmiecha się, po czym tłumaczy mi cierpliwie:

— Tych pięciu języków wymagano ode mnie, gdy mnie przyjmowano, bo wszystkie były nieobsadzone tłumaczami. Z tych pięciu przeegzaminowano mnie wówczas, jak się to mówi „w obie strony”. Ale tak samo w obie strony znam japoński, hindi, bengali, hiszpański, szwedzki, arabski, nowogrecki, nowoperski, a tych którymi mówię i rozumiem, ale nie mogłbym być dla nich przysięgłym tłumaczem — nie warto uczyć.

— A jaka to różnica? Czego się wymaga, oprócz rzetelności, od tłumaczy przysięgłych?

— Wymaga się od nich przede wszystkim absolutnej precyzji w tłumaczeniu z jednego języka na drugi. Niech pani weźmie dla przykładu słowo „tłumaczyć”. Przecież w polskim języku ma ono dwa znaczenia: „perswadować”, „objasnić” i „przekładać”. A znów słowo „przekładać” może równie oznaczać „tłumaczyć” tzn. z obcego języka „przekładać” np. z miejsca na miejsce. „Objasnić” można komuś, co nie rozumie, ale można również „objasnić” kopcając świecę. Tłumacz przysięgły musi znać wyrażenia idiomatyczne, synonimiczne, homonimiczne czy kalambury tak, żeby go urodzony cudzoziemiec nie rozszyfrował, że na do czynienia z obcokrajowcem. Trzeba znać język, jakby się w nim człowiek wychował.

— Ależ to wymaga nieraz ogromnej pracy?

— Nie tylko pracy. Również i zdolności, bez których do władania obcym językiem dochodzi się również, ale w czasie nieproporcjonalnie dłuższym.

— A jak długo pan się uczył obcego języka?

— Mogę powiedzieć tylko: „od — do”. Niemiecki opanowałam po trzech miesiącach, ale nad japońskim strawiłam przeszło pół roku. Niewiele mniej kosztował mnie arabski i nowogrecki.

— Ależ to nieprawdopodobnie szybko, rekordowo szybko.

Mgr Skokowski odpowiada natychmiast: — W tym, co pani teraz powiedziała, było 44 litery. Proszę sprawdzić.

Ja oczywiście — musiałam wziąć ołówki i papier, napisać to, co powiedziałam i dopiero wtedy przekonałam się, że istotnie mgr Skokowski nie omylił się ani o jedną literę...

— Więc chyba pani rozumie, że ktoś, co jak ja, był wyposażony z natury w pewne uzdolnienia, nad żadnym językiem obcym nie męczył się zbyt długo. Trochę to nie-

poręcznie mówić o sobie, ale zdarzył się wypadek, że trafił do sądu dość długi tekst szwedzki, a tłumacz do tego języka jeszcze nie był zaprzysiężony. Poszukiwano go trzy miesiące, a przez ten czas ja nauczyłam się szwedzkiego i tekst przetłumaczyłam. Na dwunastu stronach maszynopisu znalazły się później dwa błędy ortograficzne. Podobno nawet inteligentni Szwedzi robią ich więcej, gdyż pisownia zmieniała się tam kilka razy w tym wieku.

Mgr Skokowski miał zresztą dla mnie w zanadrzu i inne niespodzianki. Ja czytałam artykuł w gazecie 10 minut i nie znalazłam ani jednego błędu, on w cztery minuty znalazł sześć błędów, w czym trzy to była nowa pisownia, której od niego nikt nigdy nie wymagał.

— Czy wrócił pan do Polski na stałe?

— Oczywiście. Jest taka bardzo dobra zasada: zarabiać w mocniejszej walucie, a wydawać w słabszej. Dobnąłem do emerytury, z której w Stanach musiałbym żyć raczej skromnie, w porównaniu z tą stopą życiową, na jaką mnie było stać, gdy pracowałem. Jeżeli tę emeryturę „przetłumaczę” na polskie złote, będę lepiej uposażony, niż niejeden tzw. „prywaciarz”. No, a ponieważ wymagania w moim wieku nie są takie znów duże, wódki nie piję, papierosów nie palę i tylko chciałem się „nałykać Polski”, więc myślę, że dobrze wyjdę na tym powrocie na stałe.

— Co by pan mógł powiedzieć naszym Czytelnikom o swojej pracy?

— Różnica polega na tym, że w Polsce Sąd Najwyższy rozpatruje sprawy o niekoniecznie wielkim ciężarze gatunkowym, nie zawsze głośne, ale takie, które natrąfiły na lukę w kodeksie i wymagają albo nowego prawa, albo bardziej precyzyjnej interpretacji prawa już istniejącego. W Stanach Zjednoczonych natomiast do Sądu Najwyższego dochodzą tylko sprawy wielkie: Al Capone, Rosenbergowie, Dallas...

— A jakie jest pańskie zdanie o zabójstwie Kennedyego? Kto i dlaczego?

— W chorale Ujejskiego „Z dymem pożarów” jest modlitwa „O, rękę karaj. Nie ślepy miecz...” O co więc pani chodzi o tę „rękę” czy o ten „miecz”?

— Jedno i drugie, bo przecież nikt w Polsce nie wierzy w to, że zabójcą był Oswald, ale też i nikt nie wie, kto nim był naprawdę. Ani „ręka”, jeżeli użyjemy tego skrótu, ani „miecz” nie są w Polsce znane.

— Tego niech mi pani nie mówi, bo jak dotychczas przeczytałem wszystko, co na ten temat napisano. „Ręka” znana jest już na całym świecie: to kapitaliści teksascy, a mieczem był Garner, wynajęty do tego celu gangster, który zresztą nie miał równego sobie strzelca w całym Teksasie, a może i dalej. Ponieważ piszę o tym książkę, nie chcę jej dewaluować przed napisaniem i powiem pani tylko o tym, czego tam zamieścić nie zamierzam: w całej Ameryce jest publiczną tajemnicą, że nie Oswald, tylko kapitaliści teksascy dokonali tego morderstwa, ale w całej Ameryce jest publiczną tajemnicą, że mówię o tym, a cóż dopiero pisać, jest... niepatriotycznie. I dlatego żaden rodowity Amerykanin, a tym bardziej nierodowity, który rodowitego udaje — nie będzie z panią o tym rozmawiał.

— Po co była w takim razie komisja Warrena i taka gigantyczna praca, jak ów sławetny raport?

— Po to, żeby światu zamydlić oczy. Proszę pani, niech pani wyjdzie na ten balkon, ja zamknę drzwi, a pani możliwie cicho, tak, żeby pani sama siebie tylko słyszała, niech zadeklamuje... no... jakiś fragment z „Pana Tadeusza”.

Wyszłam na balkon i szeptem poczęłam recytować:

„Był sad. Drzewa owocne zasadzone w rzędy...” — na co magister Skokowski

krzyknął „dość” — i powtórzył mi to na głos.

— Rozumie więc pani, że jeżeli przed sądem najwyższym zademonstrowano taśmę telerecordingu bez fonii, to dla mnie nie ulegało najmniejszej wątpliwości, co Oswald krzychał, kiedy tę fonię wyłączyli. Tak się przecież rozmawia z głuchymi, którzy obserwując ruchy ust — „odczytują” to, co się do nich mówi. Rzecz jasna, że tę taśmę zniszczono natychmiast po okazaniu jej komisji Warrena, bo nie tylko ja mogłem „odczytać” rozpaczliwe protesty Oswalda. Oswald nie strzelał, był przygotowany na kozła ofiarnego i dlatego... musiał zginąć.

— Czyli zna pan jeszcze jeden język — język niemych?

— Ten był najłatwiejszy ze wszystkich i kto wie, czy nie opłaci mi się na równi z innymi.

— Wywiad z panem jest przeznaczony dla pisma, wydawanego przez Kościół Polsko-katolicki. Czy zetknął się pan z tym Kościołem w Stanach Zjednoczonych?

— Owszem, miałem tam wielu przyjaciół, ale organizacyjnie nie wiązałem się ani z tym, ani z żadnym innym wyznaniem, gdyż przypłaciłbym to utratą posady. Ludziom zatrudnionym w Sądzie Najwyższym nie wolno było należeć do żadnej organizacji politycznej, społecznej czy religijnej, oprócz tzw. towarzystw hobbystów: filatelistyka, numizmatyka, folklor — to były rozrywki dla nas dozwolone, o czym cały areopag nasz musiał wiedzieć z góry i dać aprobatę.

— Taka niewola?

— Wolności w Stanach Zjednoczonych są mikroskopijne ilości. I ja byłem niewolnikiem m. in. uniwersytetu w Princetown, z którego studenci, z wydziału gerontologii (nauki o odchyleniach wieku podeszłego) przyjeżdżali do mnie całymi stadami i zanudzali mnie w sposób niemiłosierny pytaniami, dotyczącymi moich sprawności umysłowych i „co on jada, że on taki mądry?” Mam przecież lat 72, a tę zimę zamierzam spędzić w Tatrach na nartach, jadam wszystko, na co mam apetyt, gram w tenisa, pływam i wiosłuję, a co do moich sprawności umysłowych, to...

— Imponujące — przerwałam. — I dlatego musiał pan być królikiem doświadczalnym dla studentów?

— Niby... to dla dobra nauki, ale to też była niewola, skoro w każdy czwartek i każdą sobotę obowiązany byłem siedzieć w domu i czekać na tych, którzy po trosze traktowali mnie i moje mieszkanie, jak klatkę w ogrodzie zoologicznym, w której zamknięte jest stworzenie dla nich ciekawe. Tą niewolę odczuwałem zresztą na każdym kroku. Oprócz zakazu organizacji — nie wolno mi było uczęszczać do lokali rozrywkowych. Moja żona, Włoszka o bardzo dużym temperamentie i humorze o-gromnie sobie krzywdowała z tego powodu i kto wie, czy nie przybliżyło to jej śmierci. Poza tym nie wolno mi było długo przebywać w lokalach czy miejscach bez telefonu. „Być pod telefonem” — to był nakaz szalenie męczący, ale nakaz — bo w każdej chwili mogłem być potrzebny. To było, rzecz jasna, bardzo dobrze wynagradzane ale... czasem człowiek woli swobodę od pieniędzy...

Rozmawiała: JADWIGA PIECHOCKA

WRZESIEŃ

N	4	14 po zesł. Ducha Św.
P	5	Wawrzyńca
W	6	Eugeniusza
Ś	7	Reginy
C	8	Narodzenie NMP
P	9	Piotra
S	10	Mikołaja



NRD

Jeden z naszych współpracowników odwiedził Niemiecką Republikę Demokratyczną. Oto co utrwalił na taśmie filmowej.



Berlin — Brama Brandenburska



Rostock



Berlin — Opera



Rostock — nadbałtycki port



Lipsk — gmach opery przy placu K. Marksa



W górach Harcu

Poczdam znany z historii II wojny światowej



Wernigerode — miasteczko w górach Harcu



Turyngia



Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 - Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie - 26 zł, półrocznie - 52 zł, rocznie - 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa - przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 78, 19,70 DM, 23,40 NF, 1.13.6 Ł; dla St. Zjednoczonych i Kanady 78; dla Australii 2.10.5 LA, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.